

## ***DROGA DO RAJU***

Ludzie są w stanie zapamiętać wiele rzeczy, częstokroć są to mało znaczące epizody z dzieciństwa czy też wczesnej młodości. Zaś wydarzenia o znaczeniu co najmniej bardzo ważnym, o ile nie kolosalnym, mające wpływ na życie danej osoby i przyszłych potomków, są odtwarzane z pamięci, jakby przez mgłę.

Tym bardziej może zdziwić fakt, że zaledwie siedemnastoletnia dziewczyna pragnie nie tylko dobrze zapamiętać najpiękniejsze chwile swojej młodości, ale chce, aby wiedza o tamtych dniach przetrwała wiele lat. Postanowiła zostawić swoje wspomnienia w spuściźnie przyszłym pokoleniom w postaci małego zeszytu w czerwonej okładce, wypełnionego nierównym, momentami trudnym do odczytania, pismem. Całe to przedsięwzięcie rozpoczyna w pewien mroźny zimowy wieczór. Był to jeden z tych wielu, kiedy na dworze szalała Pani Zima, sprawiając, że świat powoli zaczynał tonąć w bieli. Śnieżny puszek stopniowo pokrywał drogi, chodniki, jak i małe, dawno zapomniane leśne dróżki. Tymczasem, jakby na przekór temu, co działo się za oknem, w babcinej kuchni robiło się coraz cieplej. Wszystko za sprawą dużego, dość starego już, pieca kaflowego, którego babcia Laury za nic w świecie nie chciała się pozbyć. Mimo wiecznych utyskiwań swojej najmłodszej córki, która nieustannie starała się przekonać panią Matyldę do tego, aby zaczęła dotrzymywać kroku wciąż przyspieszającej technice.

- Mamo, to nie wypada! Co też sobie ludzie pomyślą? Gotowi stwierdzić, że dzieci żałują pieniędzy, aby własnej matce zapewnić lepszy byt. Mamo! - pani Matylda pozostała jednak obojętna na te i inne argumenty, za co Laura była jej niezmiernie wdzięczna. Ilekroć przyjeżdżała do Roju na wakacje, mogła rozkoszować się babcinymi przysmakami przyrządzanymi na tym starym piecu. Uwielbiała siadać na białym kuchennym krześle (teraz już nieco sfatygowanym – lata użytkowania robią swoje) i podziwiać roztaczający się za oknem krajobraz.

Podobnie było tamtego zimowego wieczoru. Dziewczyna spędzała u babci ferie zimowe. Mając dwa tygodnie wolnego postanowiła wreszcie spisać to, co zdarzyło się ponad rok temu, a co ciągle do niej wracało w postaci przepięknych wspomnień. Laurze wydawało się rzeczą niemożliwą, aby z przypadkowego spotkania z nieznanym chłopakiem mogło zrodzić się większe uczucie. Takie rzeczy zdarzają się przecież na filmach, a nie w życiu zwykłej, wtedy jeszcze, szesnastolatki. Dzisiaj wiedziała, że los może przynieść jej jeszcze wiele równie miłych niespodzianek. I właśnie postanowiła przenieść na papier wspomnienia tamtych dni, kiedy każde słowo przenosiło ją z powrotem na miejski Rynek, gdzie wszystko się zaczęło.

\*\*\*

Tamtych dni nie zapomnę chyba do końca życia. W Żorach przeżyłam już siedemnaście lat i nigdy nie przypuszczałam, że to miasto będzie miejscem narodzin mojej pierwszej prawdziwej miłości. Chociaż od tych wydarzeń minął już przeszło rok, potrafię odtworzyć niemalże każdą minutę.

To było osiemnastego sierpnia. Co rok jeden z wakacyjnych miesięcy spędzałam u babci w Roju, co jednak nie bardzo mi się podobało. Owszem, kiedy byłam małą dziewczynką z dwoma warkoczykami starannie związanymi czerwonymi kokardami, lubiłam to miejsce. Z czasem wszystko się zmieniło. Zieleń łąk, które otaczały babciny domek wydała mi się czymś zupełnie pospolitym, złote kłosa zbóż, które niegdyś uważałam za najpiękniejsze, teraz straciły swój blask. Nudziło mnie obieranie krzewów, grabienie siana, więc co kilka dni, kiedy tylko mogłam, pędziłam na przystanek i po dość krótkim upływie czasu byłam na żorskim rynku. To było to, czego potrzebowałam – miejskie powietrze, tłumy ludzi wędrujących gdzieś w pośpiechu, kolejki w sklepach. Uwielbiałam spacerować po zatłoczonym placu, co jakiś czas przysiadając na ławce i obserwując otaczających mnie ludzi. Koło południa robiło się naprawdę tłoczno. Przyznam, że czasem irytowało mnie zbyt hałaśliwe zachowanie małych dzieci, którym największą frajdę

sprawiła zabawa wokół miejskiej fontanny. Co odważniejsi posuwali się odrobinę dalej i po chwili brodzili w zimnej wodzie, piszcząc przy tym potwornie. Tymczasem ich matki rozsiadały się wygodnie na ławkach i pograżały się w dyskusji na temat tego, co wydarzyło się w ostatnim odcinku ich ulubionego serialu lub zgłębiały kolejne strony kobiecych pisemek, gdzie zapewne po raz setny czytały o diecie-cud. Obserwacja ich była moim ulubionym zajęciem. Kiedy spoglądanie na pięcioletnich urwisów zaczynało mnie nudzić, zwykle podnosiłam się z miejsca i załatwiałam babcine sprawunki. Babunia zawsze znalazła coś, czym mogłabym się zająć. Chcąc, nie chcąc, mój plecak był wyładowany po brzegi: chleb, jakieś ciasteczka, kilka paczek herbaty, ser, mleko... Wydawało mi się, że za każdym razem lista zakupów wydłuża się o kilka pozycji. Sierpień był czasem, kiedy mogłam nieco podreperować swój skromny budżet. Babunia wyznawała zasadę reszta dla ciebie. Jako że często płaciłam banknotami o dość dużych nominałach, tej reszty było całkiem sporo. Zwykle wydawałam to na różne przyjemności i ubrania.

Tamtego dnia wracałam z księgarni, pogrążona w zakupionej przed chwilą lekturze, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się dookoła. W efekcie zderzyłam się z wysokim, nieco chuderlawym brunetem. Nie mogłam przypuszczać, że właśnie tam spotkam swoją pierwszą miłość. Takie rzeczy zdarzają się wymalowanym nastolatkom z amerykańskich filmów, ale nie mnie.

- O, sorry - wybąkałam zmieszana, podnosząc z ziemi upadłą przed chwilą książkę. Myślałam, że chłopak naskoczy na mnie, zwymyśla od idiotek, które nie potrafią patrzeć pod nogi, jak to uczyniłaby większość ludzi na jego miejscu. Usłyszałam jednak coś innego.

- Nie szkodzi. Gdyby każdy, kto się o mnie potyka miał takie oczy, z chęcią dałbym się potrącać za każdym razem, gdy tędy przechodzę. Jestem Krzysztof, ale dla ciebie mogę być Krzysiem. Może to nieco dziecinne, mieć siedemnaście lat i nadal używać tak banalnego zdrobnienia, ale nie lubię pełnej wersji swojego imienia. Czy to dziwne?

- Nie...Krzysiu - powiedziałam wyraźnie speszona. W ustach każdego innego chłopaka takie słowa brzmiałyby dziwnie, a stwierdzenie, że mam piękne oczy przyprawiłoby mnie o mdłości spowodowane używaniem pospolitych tekstów z komedii romantycznych, każąc uciekać jak najdalej od owego osobnika. Jednakże tym razem było całkiem inaczej, bo i Krzyś był całkiem inny. Rzekłabym, że był nieprzeciętnym chłopakiem o dość osobliwym charakterze, czego dowiedziałam się nieco później.

- A ty? Jak masz na imię? – nadal stał przy mnie, nie ruszył się ani na krok. Miał minę człowieka, który uparcie pragnie rozmowy, obojętnie z kim, byleby była. Jego oczy wręcz błagały o to, abym się odezwała, nie mogłam więc tego nie zrobić.

- Laura - odpowiedziałam, zerkając na zegarek. - O, kurczątko! Autobus do Roju już dawno odjechał, a następny dopiero za godzinę! - pełen żalości okrzyk nieco zdezorientował chłopaka, ale jeszcze bardziej wydał się zaskoczony faktem, że jadę do Roju.

- Mieszkasz tam? - zapytał z nieukrywanym zdziwieniem w głosie.

- Nie, nie - zaprzeczyłam energicznie. - powiedzmy, że przebywam tam tymczasowo, a prościej rzecz ujmując: jestem na wakacjach u babci, niestety! - Ostatnie słowo wypowiedziałam dość cicho i zakończyłam je krótkim westchnięciem, co nie uszło uwadze Krzysia.

- Mam pomysł! Poczekaj tu. Okej? - nagły entuzjazm w jego głosie nieco mnie przeraził, ale nie zdążyłam nawet otworzyć ust, aby coś powiedzieć, bo chłopak zniknął z pola widzenia. Ja zaś cierpliwie czekałam, chociaż nie wiedziałam, na co. Poza tym wcale go nie znałam. Ani rodzice, którzy teraz byli gdzieś w Chorwacji, ani babunia, nie byliby zachwyceni tym, że spoufałam się z nieznajomymi, choćby nie wiem, jak sympatyczni się wydawali. Moja mama, odkąd pamiętam, zawsze powtarzała mi, że ludziom nie można zbyt ufać, a już na pewno nie tym, których poznało się kilkanaście minut temu. Ja jednak byłam zdania, że każdy znajomy był wcześniej nieznajomym. Być może brzmi to troszeczkę bez sensu, ale jest logiczne. Gdybym kiedyś na zagadała na koloniach do pewnej czarnowłosej dziewczynki, która stała oparta o pień drzewa, dziś nie wiedziałabym, czym jest prawdziwa przyjaźń.

Po kilku minutach wrócił Krzyś, prowadząc obok siebie stary czerwony rower, który pewnie miał więcej lat niż on sam.

- Może cię podwiezę? A przy okazji pokażę piękne miejsca w żorskich dzielnicach. Zauważyłem,

że nie przepadasz za czymś, co nie ma związku z centrum miasta - uśmiechnął się szeroko, a ja posłusznie wsiadłam na bagażnik. Uczyniłam to swobodnie, bez żadnych oporów, jakbym znała go od bardzo dawna.

- Trzymaj się! - krzyknął, kiedy mijaliśmy wąskie uliczki Rynku, kierując się na Górne Przedmieście. Początkowo jazda nie była dość udana. Co chwila zsuwałam się z bagażnika, a rower kołysał się na wszystkie strony. Obok starego szpitala, Krzyś zatrzymał pojazd, zsiadając z niego.

- Chyba nic z tego nie będzie. - powiedziałam ponurym głosem, charakterystycznym dla mojej matki, urodzonej pesymistki. Nigdy nie mogłam pojąć, jak ona może być córką babci Matyldy, osoby o wesołym usposobieniu, która patrzy na świat przez różowe okulary. Była to rzecz wątpliwa, już prędzej byłam skłonna uwierzyć w siedmiu krasnoludków, aniżeli w to, że w żyłach mojej matki i babci płynie ta sama krew.

- Oj, Lauro! Nie bądź taką pesymistką. Obiecałem, że zawiozę cię na tym gruchocie do Roju i zrobię to. Widzę, że nie masz do mnie zaufania, dlatego też nie możemy jechać prosto. Ty się mnie boisz.

- Nie, Krzysiu, nie! - zaprzeczyłam, nie chcąc, aby pomyślał, że mu nie wierzę w jego dobre intencje. Mimo wszystko obawiałam się, że na tym razem nigdzie nie dojedziemy.

- Na pewno? Spróbujemy jeszcze raz. Ale najpierw przejdziemy się kawałek, aż do budynku policji, tam ponownie wsiądziemy na rower i pomkniemy prosto do Roju - Tak też zrobiliśmy. Droga pod komisariat upłynęła na wesołej pogawędce, dzięki której dowiedziałam się o Krzysiu nieco więcej, choć nadal miałam nieodparte wrażenie, że jest coś, co chciałby mi powiedzieć, a z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nie może.

- No, to siadaj - zawołał wesoło, kiedy znaleźliśmy się obok komendy policji. Niestety, jazda nie trwała długo. Znowu chwialiśmy się to w prawo, to w lewo, co było niebezpieczne. W każdej chwili mogliśmy znaleźć się na głównej drodze, a nie miałam zbytnej ochoty na śmierć pod kołami samochodu, obojętnie, jak piękny i luksusowy byłby to pojazd.

- Dalej mi nie ufasz, Lauro. I dlaczego nie trzymasz się mnie? Byłoby o wiele łatwiej jechać, gdybyś co chwila nie zsuwała się z bagażnika! Jeszcze raz, ostatni. Ja siadam, a ty musisz mnie objąć, wtedy na pewno nie spadniesz. No, dalej - usadowił się na siedzeniu i czekał.

- No, Lauro! Ja nie gryzę, uwierz - westchnęłam, po raz kolejny tego dnia, obejmując go w pasie. Ruszyliśmy. Krzyś miał stuprocentową rację, o wiele łatwiej się teraz jechało. Mnie zaś przeszedł przyjemny dreszczyk podniecenia, kiedy objęłam chłopaka. W przeciwieństwie do niektórych moim koleżanek, nie byłam przyzwyczajona do obmacywania każdego napotkanego osobnika płci męskiej. Po kilkunastu minutach jazdy wzdłuż ulicy Wodzisławskiej znaleźliśmy się w Rogoźnej, obok kapliczki. Dotychczas uważałam to miejsce za nieciekawe, ot taka sobie wiocha, jeszcze większa, niż Rój, nie miała nawet osiedla, co uważałam za totalne zacofanie. Nie mieć osiedla, to jak nie należeć do miasta! Kiedy ja roztrząsałam problemy mieszkaniowe mieszkańców Rogoźnej, też Krzyś skręcił w lewo.

- Gdzie jedziesz? - wypowiadając to, wytrzeszczyłam swoje zielonkawe oczy, zamrugałam kilka razy, ale to nie pomogło mi w określeniu miejsca naszego położenia. Zastanawiałam się, gdzie, do stu kurczątek, on mnie wywozi?! Przez chwilę zaczęłam się niepokoić. Co by było, gdyby chciał mnie uprowadzić i zamordować. Kto wie, co mogłoby się zdarzyć na takim pustkowiu... Wprawdzie wzdłuż drogi ciągnęły się rzędy jednorodzinnych domków, ale kiedyś musi być jakiś las, zagajnik, albo chociażby puste pole, prawda?

- Oj, przecież powiedziałem, że pokażę ci Żory z innej strony! Główna ulica pełna szybkich samochodów, spalin i hałasu nie jest w stanie zobrazować ich piękna. Nawet najznakomitszy artysta nie potrafiłby pokazać czegoś pięknego. Za to las, w którym znajdziemy się za kilka minut, tak. Tylko tam można czuć się naprawdę wolnym – powiedział. Nigdy nie jechałam tamtymi ścieżkami. Zawsze wybierałam miejskie chodniki, będąc zdania, że po to je stworzono, aby nimi ktoś nimi jeździł. Boczne wiejskie dróżki praktycznie dla mnie nie istniały, nie licząc ulicy, na której mieszkała babcia. Poza tym, Krzyś powiedział, że jedziemy do lasu. Dokładnie tak: do lasu. A jeszcze przed sekundą rozmyślałam nad tym, co by było, gdyby okazał się bandziorem i chciał mnie zamordować. Las doskonale sprawdziłby się w roli miejsca morderstwa. Kto wie, czy potem

nie zakopałby mojego ciała do jakieś dziury, uciekając. Otrząsnęłam się z tych myśli, przypominając sobie jego serdeczny uśmiech i smutne oczy. Nie, osoba o takim spojrzeniu nie byłaby zdolna do popełnienia brutalnej zbrodni.

Z zainteresowaniem obserwowałam przydomowe ogródki, czytałam nazwy ulic, a nawet tabliczki na bramach: „Uwaga! Zły pies”, albo te bardziej fantazyjne, jak „Dobiegam do furtki w 3 sekundy. A ty?”. Drwali, Karłowicza, Wieniawskiego – nazwy te były mi całkiem obce, aż do tego dnia, w którym poznałam Krzysia. Kiedy skręciliśmy na ulicę Wieniawskiego, chłopak przejechał jeszcze z dwieście metrów i zatrzymał rower obok samotnej śliwy, urywając z niej kilka pokąsanych rozmiarów owoców.

- Masz - podał mi kilka, uśmiechając się od ucha do ucha. Nie musiał mieć idealnie białych i prostych zębów, aby powalić każdego na kolana swoim uśmiechem.

- Nie przepadam na śliwkami - odpowiedziałam krótko, co było prawdą. Jabłka, gruszki, to lubiłam. Śliwki jednak nigdy nie zyskały mojego uznania.

- Te na pewno będą ci smakowały, węz - przekonywał Krzys. Czy można było oprzeć się temu uśmiechowi?

- Ale czy to nie jest kradzież? - zapytałam, biorąc od niego owoce i sprawdzając, czy aby nie są robaczywe.

- Z tego, co wiem, to drzewo jest niczyje. Możemy je więc nazwać Śliwą Krzysia i Laury. Co ty na to? - zgodziłam się, kiwając twierdząco głową. Śliwki były naprawdę dobre. Dalszą drogę pokonaliśmy pieszo. Krzys obok roweru, a ja obok Krzysia. Znaleźliśmy się na drodze obok lasu. Sądziłam, że takie drogi, otoczone z jednej strony polami, a z drugiej mnóstwem drzew, są bardzo zapuszczone, zarośnięte trawą, ale widocznie się myliłam. Dreptałam po najprawdziwszej asfaltówce, lepszej niż niejedna droga w środku miasta.. Zauważyłam, że na jednym z drzew znajduje się przyczepiona kartka z wydrukowaną na niej strzałką, która kazała kierować się w głąb lasu, choć nie było w pobliżu żadnej ścieżki.

- Ciekawe, co tam jest - powiedziała bardziej do siebie, niż do Krzysia. Między drzewami znajdowała się mała drewniana chatka. Może nie chatka, a barak. Tak, to zdecydowanie lepsze określenie.

- Kto tu mieszka? - zwróciłam się do swojego towarzysza.

- Nie mam pojęcia. Tak na stałe, to chyba nikt. Ludzie opowiadają różne historie. Kiedy byłem trochę mniejszy, jeździłem z tatą na spacer po lesie i zawsze mówił, że mam się trzymać z dala od tej rudery, bo nie wiadomo, co z niej wyskoczy. Niektórzy moi koledzy przechwalali się, że byli w środku, ale żaden z nich nie potrafił powiedzieć, co znajduje się wewnątrz.

- Aha. W takim razie sama wolę tam nie wchodzić. Często tu jeździsz? - zmieniłam temat, choć tajemniczy barak nie przestał mnie intrygować.

- Teraz już nie. Odkąd...Od pewnego czasu prawie wcale - wydawało mi się, że Krzys czegoś się wstydzi. Spuścił głowę i kopnął kamyk, który znajdował się przed nim.

- O, ławka! Tak w środku lasu? Chodź, usiądźmy na chwilę! - wykrzyknęłam entuzjastycznie, kiedy parę metrów przed nami zauważyłam małą ławeczkę. Nie miała oparcia i nie była zbyt szeroka, ale zdołaliśmy się na niej pomieścić we dwójkę. Zrzuciłam z pleców torbę, wyciągając z niej paczkę wafelków kakaowych, które kupiłam dla babci. Poczęstowałam nimi Krzysia, uznając, że babunia nie powinna pogńiewać się za to, że brakuje jednego towaru z jej listy.

- I co, Lauro? Miałem rację, prawda? Tu jest cudownie.

- Muszę się z tobą zgodzić. Masz w planach jeszcze dalsze oprowadzanie po lesie? W końcu nie jesteśmy jeszcze po rajskiej części, o ile dobrze mi się wydaje. - powiedziała to nie tylko, dlatego że chciałam zobaczyć więcej drzew, ale z powodu Krzysia, którego zdążyłam bardzo polubić.

- Chodźmy zatem dalej, Lauro - wstaliśmy. Lubiłam ton, z jakim wypowiadał moje imię. Tak delikatnie, jakby z lekkim zakłopotaniem. Dalszą drogę pokonywaliśmy w milczeniu, ale cisza była naszym przyjacielem. Szłam powoli, napawając się przy tym widokiem lasu. Szczególnie urzekły mnie paprocie, które porastały prawie całą przestrzeń między drzewami, pomijając asfaltowe dróżki. Stanęliśmy na rozwidleniu. Wiedziałam, że droga w lewo prowadzi na Lasoki, gdzie czasem dochodziłam w czasie swoich spacerów, ale nigdy nie byłam na ścieżce po prawej, toteż tam

właśnie skreśliśmy.

- Lubię ten las. Pozwala mi on zapomnieć o wszystkim, co złe. Zostawiam tu swoje smutki i zmartwienia. Mam nieodparte wrażenie, że drzewa mnie rozumieją, a szum wiatru dodaje mi otuchy. Jakby matka obejmowała swoje dziecko, szepcząc, że wszystko będzie dobrze. Rozumiesz, Lauro, prawda? - zaniemówiłam. Nigdy w życiu nie słyszałam niczego bardziej poetyckiego, niż te kilka zdań wypowiedzianych przez Krzysia. Czułam, że chce mi o czymś powiedzieć, ale nie może zdobyć się do końca zdecydować. Wszystko brzmiało tak zagadkowo.

- Wiesz, też lubię ten las - odezwałam się po chwili - ale nie za szum wiatru, ani za zielone korony drzew, ale za to, że jego piękno pokazała mi osoba, którą bardzo lubię, choć znam ją tylko kilka godzin. I powiem ci coś jeszcze. Ufam temu człowiekowi i myślę, że on też może mi zaufać. Krzysiu, jeśli chcesz mi powierzyć jakiś sekret, możesz to zrobić. - Chłopak zatrzymał się gwałtownie i spojrzał mi głęboko w oczy, zupełnie jak w filmie. Po raz kolejny dzisiejszego dnia przeszedł mnie przyjemny dreszczyk.

- Sekretem jest całe moje życie. Ilekroć uchylam rąbka tajemnicy, ludzie nie chcą się ze mną przyjaźnić. Boją się, że będę taki, jak mój ojciec. Rodzice nie chcą, aby ich dzieci spotykały się ze mną. Nie zawsze tak było. Kiedyś miałem kolegów, biegaliśmy po tych ścieżkach, bawiąc się w Indian, nadając sobie równie przezwiska. Byłem Zielonym Dzieciółem. Nieco szydercze miano, prawda? - z tym musiałam się zgodzić. Zielony Dzieciół! Phi, też mi pomysł!

- Kim jest twój ojciec? - zapytałam. Bałam się, że nie uzyskam odpowiedzi, bo Krzys spuścił wzrok i odszedł kilka kroków.

- Mój ojciec już nie żyje - powiedział cicho. - nie mów, że ci przykro, nie przepraszaj. Nie lubię tego. To puste słowa, które strasznie bołą.

- Każdy człowiek kiedyś umiera - powiedziałam, podchodząc do niego. Chciałam zrobić coś, aby go pocieszyć, położyć rękę na ramieniu, objąć. Nie byłam w stanie. Zawsze żałowałam, że nie posiadałam umiejętności, które pozwoliłyby mi doskonale odnaleźć się w każdej sytuacji.

- Ale nie każdy umiera z powodu uzależnienia, tracąc wcześniej wszystko, co ma najcenniejsze. Mój ojciec kiedyś był normalnym człowiekiem, który co rano wychodzi do pracy, całując wcześniej żonę i głaszcząc po włosach swojego małego synka. Do czasu, kiedy nałóg powrócił. Dobrze mówię, nie miej takiej miny. O tym, że tato był już kiedyś uzależniony, dowiedziałem się znacznie później. Miałem dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go w takim stanie. Był taki dziwny... Rozsadzała go jakaś osobliwa energia. Myślałem, że ojciec jest tylko bardzo radosny, ale nawet, jako małe dziecko potrafiłem wyczuć, że coś jest nie tak. Bo czy mama spoglądałaby na niego takim wzrokiem, gdyby wszystko było w porządku? Jak już mówiłem, tata wpadł kiedyś w nałóg, był wtedy świeżo upieczonym studentem, nie radził sobie z nauką i koledzy zaproponowali mu narkotyki. Podobno miało to zbawienne działanie i pozwalało wkuć więcej materiału w jedną noc. Działanie było jednak krótkotrwałe, a potem... Potem trzeba było brać kolejne dawki, aby zaliczyć egzaminy. I jeszcze jedno, i jeszcze... Dopiero, kiedy tata spotkał mamę, studentkę psychologii, coś się zmieniło, ona umiała go podejść na tyle, że zgodził się iść na odwyk. Jeszcze nie było tak złe, można było mu pomóc, co się udało. Słyszałem gdzieś stwierdzenie, że narkomanem zostaje się na całe życie. To prawda. I przychodzi taka chwila, kiedy trzeba wybrać: albo zostaje się w świecie bez wzmacniaczy, albo znów zaczyna się brać. Mój tata wybrał to drugie. Powód? Stresująca praca, zbyt dużo zleceń, nad papierami przesiadywał zwykle do późnych godzin nocnych. Przez jakiś czas narkotyki rzeczywiście mu pomagały, ale potem oczywiście nic nie polepszało jego sytuacji. Mama płakała po nocach, kiedy on przychodził do domu po kilku dniach nieobecności, jeszcze bardziej wychudzony i zmizerniały. Aby mieć pieniądze na kolejne działki, sprzedawał sprzęty domowe. Najpierw telewizor, potem meble, piec, zabytkowe przedmioty. Mateczka próbowała go nakłonić do pójścia na terapię, ale on był już jedną nogą na tamtym świecie. Któregoś dnia wyjechaliśmy z Roju. Mama miała dość życia z narkomanem, złowrogich spojrzeń sąsiadów, kiedy szła ulicą. Rodzice nie pozwalali swoim dzieciom, aby się ze mną bawili. Dlaczego? Bo mój ojciec znalazł się na dnie. Parę dni mieszkaliśmy u ciotki w Żorach, gdzie teraz spędzam wakacje, a potem wynieśliśmy się do babci, do Krakowa. Mój tata nie pożył długo, o czym dowiedzieliśmy się z listu cioci, on... - po policzku

Krzysia spłynęły dwie wielkie łzy. Myślałam, że nie dokończy swojej historii. Nie mogłam tego od niego wymagać, usłyszałam już wystarczająco wiele.

- ... wstrzyknął sobie „złoty strzał”, miał dość życia. Znalezione go martwego w tamtym baraku, który mijaliśmy po drodze. A ja? Byłam nikim dla wszystkich, którzy mnie kiedyś znali. Byłam synem narkomana. Zwyczajnym zerem - Krzys zakończył swoją opowieść westchnieniem ulgi. Teraz to ja miałam łzy w oczach. Przypomniałam sobie swoje szczęśliwie dzieciństwo na jednym z żorskich osiedli, z kochającymi rodzicami. Byłam rozpieszczoną królewną, córeczką tatusia, której nigdy niczego nie brakowało. W tym samym czasie kilka, może kilkanaście kilometrów od mojego mieszkania, zaledwie dziesięcioletni Krzys przeżywał koszmar. Gdyby to mnie spotkało... Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym.

- Cieszę się, że ci to powiedziałem, Lauro. Choć ojciec nie żył, mama nigdy nie zdecydowała się na powrót do Żor. Zrobiła to też dla mnie. Ludzie myśleli, że będę taki jak on. „Nie daleko pada jabłko od jabłoni” powtarzają. Boją się mnie, wytykają nas palcami...

- To straszne.

- Teraz jednak, Lauro, będzie inaczej. Poznałem ciebie, a ty mi zaufałaś. I nadal mi ufasz, prawda, Lauro? - zapytał, a w jego głosie dało się wyczuć cichą nutkę niepewności. Kiwnęłam głową. To mu w zupełności wystarczyło. Spojrzałam na zegarek. Było już dość późno, babcia pewnie się niepokoiła. Powiedziałam Krzysowi, że muszę wracać do domu.

- W takim razie wsiadaj na rower. Będzie szybciej - jazda tym gruchotem, i to leśnymi drózkami, nie należała do najprzyjemniejszych. Miejscami na drogę wychylały się różne krzewy, zwisały gałęzie drzew, ale największym utrapieniem były pokrzywy, które zresztą poparzyły nas kilka razy. Opuściwszy las, poinstruowałam Krzysia, gdzie mieszka moja babcia. Podwiózł mnie pod sam dom, ale mimo moich usilnych nalegań, nie chciał wejść do środka.

- Może kiedy indziej - udzielił dość wymijającej i niezobowiązującej odpowiedzi.

- Krzysiu, spotkajmy się jutro. Jestem pewna, że znasz więcej ciekawych miejsc w Roju. Będę czekać - nie odpowiedział. Pośpiesznie wsiadł na rower i odjechał.

- Kim był ten chłopak, Lauro? - zapytała babcia Matylda, kiedy tylko przekroczyłam próg sieni. Opowiedziałam jej wszystko, co się dzisiaj zdarzyło, przemilczając jednak szczegóły historii opowiedzianej mi przez Krzysia. To był nasz sekret.

- Widzę, że miałaś dziś niezłą jazdę bez trzymaki. Chociaż lepiej nie wspominaj matce, że umówiłaś się z ledwo co poznanym chłopakiem, kiedy zadzwoni z zapytaniem o twoje wakacyjne samopoczucie - babcia uśmiechnęła się szeroko. - a wafelkami się nie przejmuj. Możesz go do nas zaprosić, Lauro. Chętnie poznam twojego kawalera.

- Babciu! To nie jest mój kawaler! - zawołałam, rumieniąc się. Nie dało się ukryć, że już tego pierwszego dnia poczułam do Krzysia coś więcej.

Następny tydzień był pełen wrażeń. Nie przypuszczałam, że można się dobrze bawić, będąc z dala od miasta. Krzys odwiedzał nas codziennie. Nie tylko zabierał mnie na krajoznawcze wycieczki, pokazując coraz to ciekawsze miejsca, ale także pomagał w babcinym gospodarstwie. Pracował przy żniwach, z czego babunia niezmiernie się ucieszyła. Od śmierci dziadka zawsze najmowała sąsiadów do roboty w polu, teraz nie musiała tego robić, a ja po raz pierwszy od bardzo dawna przekonałam się, że przenoszenie worków ze zbożem do spichlerza, może być przyjemne.

- Krzysztof to naprawdę złoty chłopak! - mawiała babcia za każdym razem, kiedy on wyświadczał jej jakąś przysługę. W jej ustach pełne imię Krzysia brzmiało całkiem inaczej. Nigdy nie lubiłam pełnych brzmień imion. Wołałam Kasię niż Katarzynę, Ulę niż Urszulę, a jednak Krzysztof podobał mi się równie bardzo, jak Krzys.

Na wycieczki jeździliśmy rowerami. Miałam szczęście, że babcia Matylda nadal trzymała swój dwukołowiec w stodole, choć kiedyś obnosiła się z zamiarem sprzedaży go. Najczęściej przybywaliśmy w lesie albo błądziliśmy między polami, obserwując prace kombajnów. Lubiłam także nasze piesze spacerunki do lasu. Omijaliśmy jedynie okolice drewnianego baraku, bo to przywoływało przykre wspomnienia. Za to wędrowaliśmy wszędzie indziej, śmiejąc się wesoło. Z przykrością myślałam o tym, że wakacje powoli się kończą, a to oznacza rozstanie. Przyzwyczaiłam się do towarzystwa Krzysia, ale samo przyzwyczajenie pewnie z czasem by

minęło. Tutaj chodziło o coś większego. Za każdym razem, gdy go widziałam, miałam przysłowiowe motylki w brzuchu, a serce zaczynało bić coraz szybciej. Na dobre zakochałam się w nim chyba tego dnia, kiedy byliśmy na kolejnym spacerze, a on podarował mi ... żołędzia. Szliśmy wolno leśną dróżką, rozmawiając o książce, którą oboje niedawno przeczytaliśmy, aż w pewnym momencie Krzyś pochylił się nad ziemią, uparcie czegoś szukając. Patrzyłam na niego z nieukrywanym zdziwieniem do chwili, kiedy wyprostowany stanął naprzeciwko, łapiąc mnie za rękę.

- Lauro, chciałbym ci coś dać - powiedział cicho i włożył ów prezent w moją dłoń. Spojrzałam na niego zdezorientowana, potem przeniosłam swój wzrok na mały, zielony żołędź, który przed chwilą podarował mi Krzyś.

- Na pamiątkę, Lauro. Żebyś zawsze mnie pamiętała - wyszeptał cicho.

- Krzysiu, przecież ja nie mam zamiaru cię zapominać - odparłam.

- Wiem. Chciałbym jednak i ja coś od ciebie dostać. Prezent, który sam mogę sobie wziąć. Lauro, zamknij oczy.

\*\*\*

Laura na chwilę odłożyła długopis. Rozejrzała się wokół, uświadamiając sobie, że nadal przebywa w babcinej kuchni i nic się nie zmieniło. Zatraciła poczucie rzeczywistości. Przez moment była nadal tamtą uśmiechniętą dziewczyną, która stała pośrodku leśnej dróżki, zamykając oczy na prośbę Krzysztofa, kiedy on złożył na jej ustach delikatny pocałunek. Laura mimowolnie dotknęła palcami swoich warg na wspomnienie tamtej chwili. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy z kimś się całowała. Nie wyobrażała sobie, aby jeszcze kiedykolwiek mogło ogarnąć ją uczucie bezgranicznego szczęścia tak, jak wtedy. Odkąd zdarzył się ten wypadek, nigdy nie była już tak radosna...

\*\*\*

Do domu wracaliśmy w milczeniu, trzymając się za ręce. W wolnej dłoni ścisnęłam żołędź ofiarowany mi przez Krzysia. Cisza została złamana dopiero w momencie, kiedy znaleźliśmy się przy babcinej furcie. To miało być nasze pożegnanie, bo następnego dnia rano Krzyś miał wyjechać z Żor do swojej matki, która została w domu.

- Krzysiu, ja nigdy nie żegnałam się z kimś, kogo kocham. Zupełnie nie wiem, co powinno się mówić w takich sytuacjach - zarumieniłam się, wypowiadając to zdanie. Po raz pierwszy użyłam tak mocnych słów, opisując to, co czułam w stosunku do niego.

- Ależ mi się nie żegnamy, Lauro! - zaśmiał się Krzyś. - o ile będziesz o mnie często myślała, ja zawsze będę przy tobie. Poza tym bywam czasami w Żorach. Moja ciotka ma dom zaledwie kilka ulic dalej od mieszkania twoich rodziców. Będziemy się spotykać. Lubię też otrzymywać listy, więc jestem pewien, że napiszesz do mnie. A gdyby tak się nie stało, Lauro, gdybyś postanowiła jednak o mnie zapomnieć, wiem jedno: przeżyłem najcudowniejsze wakacje w swoim życiu. Czasu spędzonego z tobą nic mi już nie odbierze, cokolwiek się jeszcze przydarzy. Nie mówię więc „żegnaj”, ale „do zobaczenia”, Lauro. Do zobaczenia! - puścił moją dłoń i wsiadł na rower, który stał oparty o płot. Krzyś zostawił go tam, nie chcąc, aby przeszkadzał na w spacerowaniu po lesie. Jechał powoli, odwracając się co chwila i radośnie machał dłonią w moim kierunku. Patrzyłam, jak zbliża się do zakrętu, za którym powinien zaraz zniknąć, kierując się w stronę ulicy Bażanciej. Krzyś zawsze wracał przez las, potem jechał przez Rogoźną. Wszystko po to, aby jak najmniej czasu spędzać na hałaśliwej ulicy.

Jeszcze raz się odwrócił i pomachał.

- Krzysiu, uważaj! - krzyknęłam nagle, ale było już za późno. Potworny huk zagłuszył moje wołanie. Straciłam grunt pod nogami.

\*\*\*

Laura, po raz kolejny w ciągu ostatnich kilkunastu minut, przerwała pisanie, ukrywając twarz w dłoniach. Nie potrafiła myśleć bez bólu o tamtych wydarzeniach. Przed oczyma miała obraz Krzysia machającego doń radośnie, uśmiechniętego od ucha do ucha, zupełnie nieświadomego, że za kilka sekund znajdzie się pod kołami rozpędzonego samochodu. Nic nie wskazywało na to, że tamta rozmowa przy furtce była zarazem ich ostatnią rozmową. Czy któreś z tych dwojga młodych ludzi mogło przypuszczać, że uzyskane przed chwilą szczęście zostanie im odebrane tak szybko i tak brutalnie?

\*\*\*

Ocknęłam się dopiero kilka godzin później, widząc pochyloną nade mną babcię i rodzinnego lekarza, którego wezwała. Nerwowo rozglądałam się dookoła.

- Krzyś...Krzyś... - szeptałam bez ustanku, zaciskając mocno pięści. Nie chciałam nawet myśleć o tym, że coś poważniejszego mogło mu się stać. Sięgnęłam do kieszeni spodni, gdzie wcześniej włożyłam prezent od Krzysia. Żołędź nadal tam był. Wyciągnęłam go i zaczęłam obracać między palcami, a łzy strugami spływały mi po policzkach.

- Babciu, nic mu się nie stało, prawda? - zapytałam z nadzieją w głosie, kierując swój wzrok w stronę babuni.

- Lauro, musisz odpoczywać, tak zalecił doktor, przeżyłaś mocny szok - babcia nie udzieliła odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie. Przez kilka kolejnych dni na przemian spałam i jadłam, nie wychodząc z łóżka. Po dwóch dobach przyjechali do mnie rodzice, którzy przerwali swój wypoczynek w Chorwacji. Tato objął mnie czule, pocałował w czoło, szepcząc, że wszystko będzie dobrze. Ja jednak nadal powtarzałam tylko jedno słowo „Krzyś”. Ojciec zaś nieustannie powtarzał, że mam się nie martwić, że przeżyłam przecież i piękne chwile w czasie tych wakacji. Widocznie babcia streściła im pokrótce to, co wydarzyło się podczas mojego pobytu u niej. Mama natomiast nie szczędziła mi wymówek.

- To naprawdę nieodpowiedzialny chłopak, skoro wpadł pod samochód! Każdy, kto posiadałby choć odrobinę zdrowego rozsądku, wiedziałby, że nie należy oglądać się do tyłu, jadąc na rowerze. W ogóle, Lauro, co ci strzeliło do głowy, żeby zadawać się z nieznajomymi? Wiedziałam, że nie powinniśmy ci za bardzo ufać. Dzisiejsza młodzież jest tak lekkomyślna! A gdyby to był jakiś złodziej, albo zboczeniec! Pomyśleć, że całymi dniami włóczyłaś się z nim po lasach!

- Aniu, przestań obwiniać o to Laure! Nikt tutaj nie jest winny jego śmierci ... - babcia gwałtownie przerwała swoją wypowiedź. Wszyscy spojrzeli na mnie z przerażeniem, nawet matka. Dopiero teraz dotarło do mnie znaczenie tych słów. Krzyś zginął!

- Krzysiu, Krzysiu... - Powtarzałam uparcie. Czułam się fatalnie. Coś uciskało mnie w głowie z niewyobrażalną siłą, a serce ... Moje serce wpadło pod samochód, zamiast niego miałam już tylko zwykły narząd odpowiedzialny za utrzymywanie mnie przy życiu.

Życiu, które, jak mi się wtedy wydawało, nie miało dla mnie najmniejszego sensu, kiedy nie było w nim tego chuderlawego chłopaka o głębokim spojrzeniu. Na jego pogrzebie cały czas płakałam. Rodzice nawet nie chcieli mnie puścić na tę uroczystość, tłumacząc to moim złym stanem psychicznym, ale ja się uparłam.

Wchodząc do kaplicy, po raz pierwszy zobaczyłam jego matkę, kobietę, która miała takie oczy jak Krzyś. Nie płakała, uśmiechała się blado. Zdziwiłam się, że zdecydowała się pochować swojego syna w Roju, przecież z tym miejscem związanych było tyle przykrych wspomnień.

Ręce mi się trzęsły, kiedy podeszłam do trumny, w której leżał Krzyś! Mój kochany Krzyś był teraz błądy, a na jego twarzy zagościł uśmiech, który nie mógł zdradzić, jak wiele bólu doświadczył w swoim krótkim życiu. Leżał tam taki spokojny, bez tych iskerek w oczach.

„Już nigdy się do mnie nie uśmiechnie, nie wypowie mojego imienia! Już nigdy nie pójdziemy na spacer do lasu! Już nigdy...” myślałam, podchodząc do trumny. Żegnając się ze zmarłym, ludzie chwytają go za rękę, mówiąc „z Bogiem”. Ja jednak nie mogłam nic powiedzieć, oczy zaszły mi łzami, kiedy dotknęłam lodowatej dłoni Krzysia. Była taka sztywna, nie mogła odwzajemnić mojego uścisku.



- Nie! - krzyknęłam przez łzy. Matka Krzysztofa podeszła do mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Pocałuj go, jeśli chcesz, Lauro - nie wiedziałam, skąd zna moje imię. Uzyskałam jednak pozwolenie na coś, co chciałam zrobić od momentu, w którym dowiedziałam się o śmierci Krzysia. Pragnęłam choć raz jeszcze poczuć, jak zalewa mnie fala ciepła i bezgranicznego szczęścia, jak to działo się podczas naszego pierwszego pocałunku. Ostrożnie pochyliłam się nad ciałem i złożyłam delikatny pocałunek na ustach Krzysia. Dreszcz, jaki wtedy przeszedł mi po plecach, nie był tym przyjemnym dreszczem, jaki ogarnia dziewczynę, która całuje swojego ukochanego chłopaka. Był to raczej dreszcz grozy i strachu, wywołany dotknięciem zlodowaciałych ust Krzysia.

Nim odeszłam od trumny, ostatni raz spojrzałam na niego, chciałam dobrze zapamiętać jego twarz, oczy i wszystko, co było tak bardzo drogie memu sercu. Jeszcze chwila, jedno spojrzenie... Ubrani w eleganckie garnitury panowie z zakładu pogrzebowego, zamknęli wieko trumny, abym już nigdy w życiu nie miała spojrzeć na Krzysia.

Podczas trwania Mszy Świętej, nie mogłam się skupić, spoglądając ciągle na stojącą pośrodku kościoła trumnę, przypominając sobie wszystkie dobre chwile, które spędziłam w czasie tych wakacji, z trudem opanowując łzy.

W czasie procesji na cmentarz, która wydawała mi się najtrudniejszą drogą, jaką przebyłam w całym swoim życiu, szłam powoli, ledwo trzymając się na nogach, tuż obok matki Krzysia. Moi rodzice zostali gdzieś w tyle. Żadna z nas nic nie mówiła, ale jedno spojrzenie w oczy pani Marii sprawiło, że zawiązała się między nami pewna nić sympatii. Połączyło nas jedno: śmierć ukochanej osoby.

Kiedy trumna z ciałem Krzysia została spuszczana do ziemi, a jego matka pochyliła się i rzuciła na nią garść ziemi, jak stałam jak słup, nie mogąc zrobić nawet najmniejszego kroku. Wiedziałam, że gdybym tylko mogła się ruszyć, rzuciłabym się w dół, za moim Krzysiem, aby nic na nigdy nie rozłączyło. Ludzie rzucali kwiaty, aż powoli trumna stała się zupełnie niewidoczna. Wtedy też sięgnęłam do kieszeni, wydobywając z niej pierwszy prezent, jaki dostałam do Krzysia. Był to mały, zielony żołędź. Ze łzami w oczach spojrzałam na niego.

- Nigdy cię nie zapomnę, Krzysiu - powiedziałam cicho - nigdy!

\*\*\*

Ostatnie kartki Laurowego pamiętnika zostały zmoczone przez łzy. Tak trudno wyobrazić sobie, że od tamtych chwil minął nieco ponad rok. Wspomnienia były nadal w niej żywe i wywoływały mieszane uczucia. Od przepełniającego ją szczęścia, kiedy myślała o chwilach spędzonych w lesie, o pierwszym pocałunku, aż do ogarniającej ją rozpacz, gdy wspominała dzień pogrzebu. Babcia, widząc łzy w oczach dziewczyny, pokiwała smutno głową. Nikt, nawet najmądrzejsza babunia na świecie, nie mógł wiedzieć, jak wielki dramat rozgrywa się w sercu tej siedemnastoletniej dziewczyny. I choć spisanie swoich wspomnień pomogło nieco Laurze, uwolniło ją od ciągłego rozdrapywania ran i przypominania sobie każdej minuty z tamtych dni w obawie przed zapomnieniem Krzysia, nie przywróciło jej radości.

Pragnęła umrzeć i znaleźć się przy swoim ukochanym. Wiedziała, że śmierć jest przepustką do lepszego życia. Do świata wiecznej radości w towarzystwie Boga i świętych. Mocno wierzyła w to, że ta radość nie ominie Krzysia.

Usłyszała kiedyś w kościele zdanie, które mocno utkwilo jej w pamięci: „W domu Ojca mego wiele jest mieszkań; gdyby było inaczej, byłbym wam powiedział. Idę przygotować wam miejsce. A jeśli pójdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę znowu i wezmę was do siebie, abyście, gdzie Ja jestem, i wy byli.”

Zastanawiała się, kiedy ją Pan powoła do wieczności. Czuła, że ten moment zbliża się coraz szybciej. Wiedziała to Laura, wiedzieli jej rodzice.

Od czasu wypadku jej stan zdrowia znacznie się pogorszył. Nie chciała jeść, spać, co odbiło się nie tylko na psychice, ale również na ogólnym zdrowiu organizmu. Gdzie się podziała ta piękna dziewczyna o szerokim uśmiechu? Jej miejsce zajęła wymizerniała istotka o spojrzeniu tak smutnym, że każdy, kto na nią spojrzał, miał ochotę zapłakać.

Laura umierała powoli w domu babci Matyldy w Roju. Dokonując ostatnich zmian w pamiętniku, spisując swoje ostatnie myśli, przeniosła się, z pomocą babci, do wielkiego łóżka, gdzie położyła się wygodnie.

„Jestem szczęśliwa. Gdyby tylko Krzyś wyszedł mi na spotkanie w Niebie” to było ostatnie zdanie napisane przez Laurę. Powoli zamknęła oczy, uchwyciwszy jeszcze delikatny uśmiech babci. Obie wiedziały, że w tym momencie Pan Bóg zabiera jej duszę, wyzwala ją od wszelkich cierpień. Jej droga na Ziemi dobiegła końca. Umarła nie z powodu niewydolności któregoś z narządów.

Umarła z miłości. W ciągu roku pokonała wielki odcinek trasy, aby teraz ją zakończyć. Droga do Raju dobiegła końca.